

PAMIĘTNIK Z ŻYCIA TERESY Basiak –Dziubak-Malec

spisany w latach

1968-1972

Nie wiem, ile to może pomóc człowiekowi opowieść z całego swojego młodego życia, ale tak mi się przynajmniej wydaje, jest konieczne w moim życiu. Czuję się całkowicie załamana, nie wiem którą z dróg wybrać, a stoję na rozstaju dróg. Bardzo łatwo mogę popaść w zło a tego za wszelką cenę nie chciałabym. Chcę zostać takim samym człowiekiem, jak inne dzieci, które w tej chwili mają własny dom, rodziców, rodzeństwo, są szczęśliwi, rozkoszują się szczęściem i miłością rodziców, wiedzą po co żyją. A to jest jednak bardzo ważne, żeby znać własny cel życia. Trudno jest wypowiedzieć wszystko co się czuje, myśli piętrzą się i cisną do głowy, a zarazem bardzo ciasno jest dla nich. Nie wiem, i nie chcę nikogo już, teraz obwiniać za to, że moje życie jest tak roztrzęsione, tak rozerwane. Żal mi tylko i to okrutny żal, że nie mam rodziców, takich jak moje koleżanki, że brak mi własnego ogniska domowego, a przecież to jest naprawdę bardzo przykre, gdy człowiek jest sam. Pozostawiony na łaskę losu, chwyta się wszystkiego w myśl starodawnego powiedzenia „tonący brzytwy się chwyta”. Nie wiem czy to naprawdę trafne porównanie, ale wydaje mi się, że tak jest. Postanowiłam podsumować swoje dotychczasowe „osiągnięcia życiowe” swoje klęski i upadki, bo takie były przede wszystkim, wszystko to co przeżyłam dotychczas. Postanowiłam spisać swoją przeszłość na papierze, może to wreszcie pomoże mi ustabilizować swoje życie. Będę już od tej chwili bardzo szczerą. Zdejmę ze swych oczu różowe okulary i odkryję całą prawdę o sobie. naprawdę. To jest bardzo trudne. Mam zaledwie 16 lat. Nie jestem przecież poetką, pisarką, która potrafiłaby może w jakiś powieściowy sposób opracować to, nie, ale nie o to mi chodzi, w ogóle nie chodzi mi o to abym napisała to w formie pamiętnika, którym wszyscy będą się zachwycać. To przecież potrzebne

jest przede wszystkim dla mnie, dla uspokojenia mojej duszy. W duszy u siebie czuję teraz żar, wydaje mi się, że palą się we mnie wnętrzności. Czym to ugasić, czym o Boże, dlaczego ja zostałam w życiu taka sama. Co ja zawiniłam, że stałam się niepotrzebną, że matka mnie nie chciała. Ta druga też nie zechciała. Jak to jest. Czy dlatego, że się urodziłam matce na zmartwienie, czy nigdy nikomu nie będę potrzebna. Kto może mi powiedzieć, jaki jest sens mojego życia, jaki kierunek, według którego mogłabym iść? Może znajdę odpowiedź, po naprawdę szczerzej analizie mego przeszłego piętnastoletniego życia. Czuję jedynie niewypowiedziany smutek i przygnębienie, zdaje się, że już nigdy nie odzyskam równowagi życia. Tak to widzę dzisiaj.

Jest rok 1968. Pisze te słowa dla siebie w pustym pokoju w internacie w Połączynie Zdroju pokój nr 3.

Rodowód cz. I

Urodziłam się 20 lipca 1952 roku we wsi Stare Gonne niedaleko Kluczewa w powiecie szczecineckim na zwykłym żelaznym łóżku, przy pomocy odpowiednio obsługującej „wiejskiej babki”. Wieś gminna niesie jednak inaczej, że tego dnia pokłóciła się moja matka z dziadkiem i poszła spać do szopy z drzewem i tam się to zaczęło i dopiero jak dziadek przyszedł po nas, trafiłyśmy na to łóżko. Moja matka Anna Basiak była panną mającą około 23 lat, matką 2 ½ syna Władka, który był moim bratem przyrodnim., gdyż miał innego ojca. Mieszka w chwili obecnej gdzieś w Koszalinie i jest w wojsku. Łączy nas tylko wspólna krew matki. Ojcem moim był kawaler z pobliskiej wsi Chłopowo – Henryk Dziubak mający wtedy 21 lat. Nie wiem co łączyło moją matkę z tym człowiekiem. Czy była między nimi miłość, czy przyjaźń? Mogę powiedzieć tylko jedno, że jeżeli między nimi było nawet jakieś uczucie, to było ono bardzo przelotne i niestałe. Z opowiadań wiem tylko, że po moim urodzeniu przestali się w ogóle widywać, zaginęli dla siebie, nie myśląc nawet, że łączy ich wspólne dziecko. On podobno wyjechał do Łodzi a mama została w Staro

Gonnym. Chociaż alimenty płacił. Matka zaczęła się oglądać za nowym „narybkiem”. Nie myślała o dzieciach. Wiedziała jedno, że jest ładna, młoda i ma takie same prawo do życia jak inne, a to że miała już dwoje nieślubnych dzieci to był „normalny przypadek”. Tak więc byłam już na świecie. Chrzczony przeszły bez żadnych zbędnych ceregieli, bo nieślubne dzieci nie chrzczono zbyt głośno. Nie było czym się chwalić. Chrzestną matką została sąsiadka z matki wioski Niemka, Teresa Englod zaś ojcem chrzestnym został szwagier mamy a mój wujek Baran Jan, który mieszkał w Stargardzie. To właśnie po mojej chrzestnej dostałam imię pierwsze, Teresa a drugie przyniosłam sobie sama, bo urodziłam się w Czesławcy. Chrzczony odbyły się 12 sierpnia w kościele parafialnym w Kluczewie. Otrzymałam imiona Teresa, Czesława Basiak, w metryce chrztu napisano mi ----ojciec NN /nikomu nieznany/. W gminie zostałam zarejestrowana pod nazwiskiem ojca Dziubak, gdyż matce zależało na alimentach a ojciec się na nie zgodził. Będę niosła te 2 nazwiska aż do ślubu.

Goście rozjechali się natomiast zostało małe niemowlę i rozgoryczona do całego otoczenia matka oraz mały braciszek Władek. Mieszkanie jakie zajmowała matka był to duży pokój, o dwóch oknach, znajdujący się w oficynie budynku. Zaznaczam matka przez cały czas mieszkała u Babci i to właśnie uratowało mnie przed niechybnym nieszczęściem albo innymi nieszczęściami.

Matka początkowo nie pracowała nigdzie, a przy tym żyła ciągle w niezgodzie z dziadkami. Ciągle wносиła różne pretensje. A przecież wiadomo, iż Babci nie było w ogóle po nosie postępowanie matki. Panna z dwojgiem dzieci w tych czasach na wsi – to równało się prawie wykroczeniu. Babcia rozumiała błędy matki, chciała ją naprawić, ale to nie udawało jej się zrobić. W końcu powiedziała, iż „złego i sam anioł nie naprawi”. Za to bardzo dobrze rozumiała mnie. Kiedy matka wychodziła nie raz na cały dzień, przynosiła mi po kryjomu mleka, cukru, gdyż matka karmiła mnie tylko dwa miesiące i potem żyłam tylko kawą z mlekiem. Bardzo często miałam różnego rodzaju biegunki, ale Babcia

zmieniała mi pościel i dawała co tylko mogła/tak opowiedziała mi moja chrzestna Teresa Englod po latach i starsza ode mnie o 3 lata ciotka Wanda./.

Jednakże sama też miała własne dzieci, które wymagały również troskliwej opieki i rzadko mnie odwiedzała. Wanda najmłodsza córka Babci miała wówczas 3 latka. I te chwile, kiedy Babcia zajęta było własnym gospodarstwem były dla mnie najgorsze. Matka niekiedy wracała wieczorem. Ja cały dzień nie przewinięta, siedziałam w tym co przez cały dzień z organizmu wydzieliłam. – tak opowiadały mi ciocie. Na protesty Babci odpowiadała zniecierpliwiona matka: „jeżeli nawet naje się... to się nie otruje, bo to własne”. Jakże ona mogła się zajmować dzieckiem, kiedy miała już na oku młodego... towarzysza. Dlaczego dzieckiem a nie dziećmi? Władek od początku był wychowankiem Babci. Był w tym samym wieku co Wanda, a więc jak tylko zaczął chodzić, jak poszedł na Babciną stronę domu tak nigdy już do „naszej” kajutki nie powrócił. Ja przebyłam pierwszą zimę i w maju już zaczęłam chodzić. Ciotka przysłała parę ciuszków i tak dreptałam po podwórku. Matka po pewnym czasie przeprowadziła się od Babci do małej chaty pod Kluczewo, poszła do pracy do PGR i dlatego od razu dostała pomieszczenia w takim długim baraku. Tam żyliśmy, bo byłam tam z Władkiem, bardzo biednie, ale razem, bo mama zamykała nas na klucz, kiedy szła do pracy. Jak mawiała pani Taborkowa, sąsiadka obok, żyły” bo Pan Bóg opiekuje się takimi bachorami”, często rodziny obok przynosiły nam jedzenie i babcia, kiedy przyjeżdżała na targ do Kluczewa. Jak opowiadają ci co nas jako dzieci znali, byłam bardzo rezolutna jako dziecko, bardzo szybko łapałam co było dobre. Szybko jako 4 latka nauczyłam się otwierać okno i rozmawiałam z sąsiadami. Bardzo mocno opiekowałam się Władkiem mimo, że był prawie 3 lata starszy. Brakowało nam mamy, cały dzień same, to okno było naszym całym światem. Bardzo lubiłam, kiedy jechałyśmy i częściowo szłyśmy do Babci. To ja prowadziłam ze sobą Władka, który nawet to podobno pamiętał, że mama szła obok a ja mocno ścisnęłam jego rękę. Kto kogo prowadził w takim razie, nie wiem. Droga wynosiła prawie 5 km w jedną

stronę. Matka nie chodziła zbyt często, ale Babcia zawsze wołała mnie, jak żeśmy odchodzili, a więc przez następne dni krzyczałam z płaczem „Tesia Babu siosą”. Byłam nauczona, że zawsze idzie się szosą, prosto, nigdzie nie skręca i w końcu trafia do Babci. Miałam wówczas 4 latka. Pomimo, że byłam w pierwsze miesiące życia bardzo słabo odżywiana, to jednak byłam zdrowa i pulchna. Każdy dawał mi 6 lat. Jednakże byłam ponoć bardzo zaniedbana i miałam na głowie trochę insektów. To wiem od Baranów, którzy to ciągle w późniejszych latach wypominali. Bardzo mało pamiętam z tamtych lat, ale utkwiło mi głęboko w pamięci pewne spotkanie. Od pewnego razu, zaczęłam wychodzić przez to okno na drogę, czekałam na mamę i chciałam iść do Babci. Władek też... Pamiętam, wprowadzie trochę przez mgłę, zobaczyłam pewnego razu matkę, która jechała na traktorze i zaczęłam wołać. Mama nawet nie spojrzała się w moją stronę. Przecież musiała mnie widzieć. A może nie.

Odtąd nigdy nie spojrzałam się w kierunku matki, poza domem. Jak opowiadają członkowie rodziny Mama miała wolną rękę, szalała w pełnym tego słowa znaczeniu. Dostawała od ojca alimenty, miała za co kupować szminki i kolorowe chustki. Była ładna i miała ciągle powodzenie.

Ja natomiast byłam podobnie bardzo pojętna, szybko uczyłam się wierszyków, piosenek. A przy tym byłam, trudno mi to poprawnie określić, pewnego rodzaju „podlizuszką”. Szczególnie bardzo lubił mnie Dziadek. Nauczył mnie sam znany wierszyk- „Kto ty jesteś, Polak mały”. Potem deklamowałam go każdemu, kto tylko pokazał się w domu, jak byłam u Babci. Czy chciał czy nie chciał to musiał wysłuchać i nie wyłączając nawet księdza, który zawsze musiał nosić przy sobie obrazki, bo za ten wierszyk, zawsze musiałam coś dostać. To była zasługa Dziadka. Natomiast Babcia nauczyła mnie piosenki, nie pamiętam już wszystkich słów. Wiem tylko że była jedna zwrotka taka. „Przy niej wierzba rosochata, a w konopiach strach”. Było to wynikiem wizyt naszych u dziadków. Czasami jak mama chciała mieć wolną niedzielę to przynosiła nas, czasami ktoś jechał furmanką, to nas zabierał do Staro Gonnego.

Pewnego razu mamy nie było bardzo długo, pamiętam zrobiło się ciemno, było długo ciemno i zrobiło się jasno. Byłam bardzo głodna i Władek zaczął się mazać... Też chciał jeść. W domu było zimno.

Nagle postanowiłam, że idziemy do Babci. Pamiętałam drogę. Prosto, prosto i duże, jak pamiętałam krzaki/zagajnik/. Wyszliśmy drogą, mijały nas furmanki, ale nikt nam nie pomógł. Widocznie sądzili, że nasza matka jest w pobliżu A my szliśmy i szliśmy. Władek osłabł i często zostawał w tyle. Ja szłam, ale bardzo bolały mnie nogi. Miałam 4,5 roku, ale miałam wielki głód i wiedziałam, że tam dostanę jeść. Znalazłam kawałek małego patyka i poganiałam tym patykiem Władka. Doszliśmy do zagajnika. Zaczęły bardzo mocno ujadać psy. Władek się nagle położył i nie chciał wstać. Usiadłam koło niego i też zasnęłam. Okazuje się, że psy tak długo ujadały, że dziadek poszedł sprawdzić, czy to nie dziki. Znalazł nas śpiących i zabrał do domu. Dla nas to oznaczało ciepło i fakt pozostania na dłużej, bo dziadek nie chciał nas już zostawiać pod opieką mamy, dopóki nie ułoży sobie tak życia, aby nami się ciągle opiekować. Tą zimę byliśmy znów na Stare Gonne.

Po jakimś czasie, dokładnie na imieniny Dziadka, przyjechał mój chrzestny Jan Baran i dał mi w rękę czekoladę z czerwonym kapturkiem i powiedział, że jak będę grzeczna i nie będę płakać to pojedę do niego, i będę miała dużo czekoladek. Ja spałam podobno z tą czekoladą i jak opowiadała babcia, niczym z drogim talizmanem. Aż się rozpuściła. Bardzo byłam ciekawa, ale nie wiedziałam jak będzie wyglądał ten nowy świat, do którego zapraszał mnie wujek. Miałam gdzieś pojechać, nie rozumiałam tego, ale moja ciekawość była duża.

Nowy Świat cz. II

Baran Izabella była to młodsza o dwa lata, siostra mojej matki. Z zawodu była krawcową. Mając 21 lat wyszła ponoć z wielkiej miłości za mąż za Jana Barana,

mieszkającego w tej samej wiosce co i ona W cztery miesiące po ślubie, kiedy wszystkim wydawało się, iż szczęśliwszej pary nie będzie pod słońcem, wydarzył się okropny wypadek. Jadąc rowerem wpadła pod koła wielkiej furmanki, na której siedziało 30 osób. Koła przeszły ją wzdłuż pachwin, na szczęście były to koła gumowe.

Stan był naprawdę beznadziejny. Lekarze w Szczecinku wypisali już ze szpitala, mówiąc, iż niech lepiej skona w domu, przy mężu. Dopiero Baran dowiedział się, iż w barwickich lasach ukrywa się węgierski znachor. Udał się on po niego i błagał, aby przyjechał. Patrząc na rozpacz młodego człowieka, przyszedł pewnej nocy do chorej, zbadał i przepisał różnorodne lekarstwa. Od tamtej nocy rany poczęły się goić. Jednakże wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że o dzieciach na pewno nie będzie mowy. Wiadomo tamte narządy były prawie zmiażdżone. Ale trudno pogodzili się z tym wszystkim, ważne dla nich było, że ona żyje. Jednakże bardzo trudno podobno żyć samotnemu małżeństwu. Szczególnie bardzo trudno, gdy się nie może mieć dzieci, a się ich pragnie. Tacy to właśnie przyjechali pewnego lutowego dnia do staro gonnej wsi. Baran, później nazywany ojcem, kiedy tylko przyjechał podobno bardzo żywo zajął się mną. Ja byłam wtedy już kilka tygodni u Babci. Tutaj w domu Babci było mi lepiej. Mama przyjeżdżała co parę dni do nas. Podczas kolacji zażartowano do matki, czy nie dałaby na parę dni Teresy. Matce było to na rękę, kilka dni swobody jakby nie było. Umówili się jednak, że na Wielkanoc jak ciotka Stefa będzie jechała tu do Babci to mnie przywiezie. Zaraz tego wieczoru, matka poszła pożyczyć płaszczyk od chrzestnej matki, żeby mogli mnie zabrać.

I tak 20 lutego 1957 roku przyjechałam do Stargardu. Niby na trochę. Tak uzgodnione było z prawdziwą mamą. Długo nie doszłam tego czy mama mnie oddała czy nie. Czy tylko na trochę. Wiem tylko, że po kilku miesiącach wystąpiono do sądu, o zniesienie alimentów. W późniejszych czasach dowiedziałam się, że matka nie chciała mnie oddać i było to powodem wielkiej kłótni między siostrami. Ale do końca nigdy, dopóki żyli Baranowie, nie

chciano mi powiedzieć prawdy. Nie wiem czy ojciec prawdziwy to zrobił za to, że mnie oddano, czy wystąpili o to Baranowie. To nigdy nie zostało mi wyjaśnione, prawdopodobnie Baranowie chcieli mnie adoptować oficjalnie i dlatego zrzekli się w sądzie alimentów a ja z czasem zaczęłam mówić mamę i tato. Byłam szczęśliwa, miałam dom i było ciepło.

Zaraz od pierwszego dnia nowa mama, teraz moją mamą będzie ciotka Iza, postanowiła doprowadzić mnie do „ludzi”. Na czym to polegało. Po pierwsze wyczyściła mi głowę i zaczęła leczyć krosty i wrzody. Po dwóch tygodniach wyszłam pierwszy raz na spacer. Ciotki nie poznały mnie. Miałam na sobie śliczną nowiutką sukienkę i białe rajtuzki oraz fartuszek. Do dzisiaj mam fotografię z tamtego lipca. Byli w tym czasie mną wszyscy zachwyceni. Przyszła Wielkanoc, ciotka Stefa szykowała się do podróży, ale nawet nie miała odwagi napomknąć o mnie. Widziała, że mama szyje dla mnie nowy płaszczek. Po co? Czyż nie mogłam odjechać w pożyczonym. Nie, ona to rozumiała. Ja na pewno jeszcze trochę zostanę. Przeszły święta, ciocia powróciła. Po przyjeździe przyszła i powiedziała, iż matka się trochę zdziwiła, dlaczego mnie nie przywieziono i mówiła, żeby przywiozła mnie ciocia Honorata jak będzie jechała na lato. Kiedy przyszedł czerwiec, moi nowi rodzice wiedzieli, iż na koniec czerwca Honorka ma mnie zabrać i dlatego powzięli inną decyzję. Nie chcieli zadzierać z moją matką i dlatego 20 czerwca – wiadomość Baranowie wczoraj wieczorem wyjechali do Warszawy na całe dwa miesiące. Ciotka Iza pracowała w domu, szyła już trochę po cichu, mogła więc pozwolić sobie na wczasy, natomiast ojciec miał niewykorzystany urlop za rok 1956. Tak więc wakacje 1957 spędzałam już daleko w świecie w Warszawie. Kiedy wróciliśmy przyszedł list, że mają mnie przywieźć na Boże Narodzenie. Jednakże widać z tego, że matka zbyt mocno nie rozpaczała z powodu mojej nieobecności. Ci natomiast w ogóle nie chcieli słyszeć już o oddawaniu mnie. W styczniu 1958 roku ciotka Iza poszła do pracy do zakładu państwowego. Ojciec od początku pracował na kolei. Problem co zrobić ze mną. W przedszkolu nie było miejsca.

Jedna z ciotek opowiadała mi, że mój status był nie wyjaśniony, czyje to dziecko i dlatego nie przyjęto mnie do przedszkola. Ale nie wiem do końca.

Ja nie wiem, dlaczego podobno bardzo szybko nauczyłam się mówić mama i tata. Byłam przylepa spragniona ciepła i opieki. Skąd to się wzięło, nie wiem, ale tak było. Mój świat to mama i tata. Może dlatego, że obok za ścianą przy ulicy Wojska Polskiego, mieszkała pani Pakulska i tam były dzieci i była mama i tata. Dla mnie było tak samo. Ja też tak chciałam. Nigdy tego nie doszłam.

A więc urządzono mi przedszkole w domu. Miałam zawsze zaścielone kocem łóżko, na nim się bawiłam, pełną toaletę zabawek, zaś drzwi zamykały się codziennie za 15 minut godzina 7 na klucz. Zostawałam sama do godziny trzeciej. Nauczono mnie robić sobie śniadanie. Gotowałam sobie wodę na herbatę na maszynie. Miałam powiedziane jak „włączyć wtyczkę i będzie maszynka czerwona, to postawisz wodę, a kiedy będą kulki to zdejmiesz”. Szybko nabrałam wprawy, miałam wtedy już szósty rok od lipca. Pamiętam, sąsiadka pani Pakulska bardzo mnie lubiła, często pukała do mnie porozmawiała ze mną i odchodziła do swoich zajęć. Wiedziała, że ja porozmawiam, ale drzwi nie otworzę. Ja natomiast spędzałam całe dni prawie sama. Kiedy tata wracał musiałam bardzo ładnie poprosić i jeżeli pozwolił to poszłam na godzinkę pospacerować po podwórku. Dosłownie, gdyż bawić się nie bawiłam, byłam zawsze bardzo ładnie ubrana i nie mogłam się ubrudzić. Mieszkaliśmy wtedy na ulicy Wojska Polskiego 40 mieszkanie 7. To był stary dom, ale bardzo ładny. Tak przyszedł rok 1959. Mamie Izie znudziła się już praca w zakładzie, a poza tym, zbliżał się czas pójścia mego do szkoły. Zwolniła się więc i założyła prywatny zakład w domu. Oczywiście było to mi bardzo na rękę, nie siedziałam już sama. We wrześniu 1959 roku poszłam do szkoły. Chodziłam do szkoły podstawowej nr 3 w Stargardzie przy ulicy Limanowskiego. Nie wiem, dlaczego, ale od początku byłam chwalona przez nauczycielki a zarazem ganiona za zachowanie. Byłam strasznie żywa, nie usiedziałam chwili w spokoju. Ale za to dobrze uczyłam się. Rodzicie nie pomagali mi nigdy w

lekcjach, twierdzili, że muszę dać sobie radę sama. O matce już pamiętałam, tak przez mgłę a przynajmniej dla mnie już nie istniała jako ta, która zaraz po mnie przyjdzie. Tu mi było dobrze, chociaż nowa mama bardzo często na mnie krzyczała. Tata wstawiał się za mną, mówił to tylko dziecko. Wiem, że bardzo często był za mną. Raz zostawił mnie na dłużej i dał mi do zabawy swój zegarek z łańcuszkiem. Zanim wrócił rozebrałam go na drobne części. Ale wybaczył mi. Kiedy otworzyłam drzwi dla gości ze Szczecina dostałam straszne lanie od mamy Izy, uratowała mnie pani Pakulska. Nie wiem, ale zawsze była dla mnie ostrzejsza. Trochę jej się cały czas bałam. Kiedy szła mi ubranka wtedy mówiła, że muszę być grzeczna i nie ubrudzić, bo nie dostanę nowych czy następnych. Wiem, że zawsze się mocno starałam, żeby jej dogodzić. Bardzo rzadko mnie chwaliła

Pewnego dnia, kiedy wróciłam ze szkoły, nie było nikogo w domu. Usiadłam pod drzwiami i siedziałam. W pewnym momencie przesiadłam się pod drzwi sąsiadki, miała taka wygodna wycieraczkę, przywiózł jej mąż z zagranicy. Jak poduszka. Było mi przyjemnie i zaczęłam oglądać klatkę, inne drzwi. Nagle zaczęłam porównywać wizytówki. Zaczęłam czytać. I przeczytałam Baran. W szkole Pani mówiła i pisało w dzienniku – Dziubak. Co to znaczy. Dlaczego tu nie pisze moje nazwisko, obok koleżanki z podwórka się zgadzało. Co to znaczy Z wielkim zamyśleniem weszłam do domu. Nie zapytałam. Następnego dnia zarzuciłam ukochanej wychowawczyni, pani Hanisz, że ma błąd w dzienniku, ja się nazywam Baran. Pani powiedziała, że tu w szkole tak ma być i żebym zapytała w domu. Na przerwie w dzienniku przeczytałam, że Baranowie to są opiekunowie. Zapytałam cioci Honoraty, ale powiedziała, że jak będę starsza to mi wytłumaczy. Tak zostało na pewien czas.

Chodziłam na religię i bardzo szybko sobie wszystko przyswoiłam. Przyszedł maj 1960 r. gorączkowe przygotowanie. 27maja przystępuję do pierwszej komunii św. Gości nie było zbyt wiele. Babcia, ciotka Honora z mężem, sąsiedzi, ciotka Stefa. Matka moja chociaż rodzona siostra Izy nie przyjechała,

jak się potem chciałam dowiedzieć, dlaczego, powiedziała, że w ogóle nie była proszona. Tak na dobre zapomniałam jej twarz. Czas robił swoje. Ubrana byłam tego dnia super, wszyscy się zachwycali a ciocie mówiły, że wyglądam jak ich rodzona. Nie wiedziałam o co chodzi, ale zastanawiało mnie co to znaczy „rodzona. Nie dostałam odpowiedzi, rodzona to rodzona każdy się rodzi i tak zostało. Na pewien czas. Ale zapamiętałam, że coś w powietrzu wisiało.

I tak biegło życie starym jednolitym trybem, chociaż nie, to były najszczęśliwsze lata w moim życiu, wtedy miałam wszystko co chciałam, bo byłam sama. Cackali się ze mną szczególnie przy gościach, jak z jajkiem. Wszędzie musiałam być najładniej ubrana, najlepiej mówić, żebym nie przyniosła im wstydu.

Niedługo dane było mi jednak cieszyć się takimi rozkoszami. Po jedną połowę wszystkiego małą rączką sięgnął On i było to ważne, bo ja miałam już 10 lat i wiedziałam, że moja prawdziwa mama, żyje daleko a ja muszę tu być i kochać tych co o mnie dbają. Powiedziała mi to ciocia Stefa w kolejne wakacje u niej. Co to znaczy prawdziwa.?

Przyszedł ktoś, kto będzie moim bratem. Nie będę sama. Może on też będzie nazywał się Dziubak. Przeszkadzało mi to, że nie nazywam się tak samo jak oni a mówię mama i tata. Ciągłe nie mogłam tego zapomnieć. Ale tak dużo się wtedy działo. Tak szybko, poza mną.

Mały przyjaciel cz. III

Pewnego zimowego dnia w domu było małe zamieszanie. Mama Iza rano wstała chora, ojciec był bardzo podniecony. Bardzo szybko poszedł do pracy a mama do lekarza. Nie było mi to dziwne, gdyż bardzo często chorowała. Ale gdy dosyć długo nie wracała zaczęło mnie to bardzo niepokoić. Miałam w końcu już skończone 10 lat. Ojciec przyszedł z pracy bardzo mocno zdenerwowany. Nie wiedział, iż były to gorączkowe chwile oczekiwania „czy będzie czy nie”.

Mama przyszła o szóstej. Nie rozbierając się siadła i powiedziała do ojca „jednak tak, już trzeci miesiąc”. Mnie zaś zdziwionej spytali co chcesz, braciszka czy siostrzyczkę. Odpowiedziałam, że nic choć nie wiem, dlaczego, może przeczuwałam, że będzie potem gorzej, czy też co. Oni byli dla mnie teraz mniej troskliwi. Kazano mi dbać nad sobą samej. I o dziwo zrobiłam to w tym roku, kiedy rozgrywały się wszystkie dramaty domowe, ja zostałam szczególnie wyróżniona jako najlepsza uczennica szkoły. Pamiętam miałam same piątki, od góry do dołu i minęło 5 lat, odkąd byłam w Stargardzie.

Boguś urodził się za wcześnie ,29 września 1962 roku Był wcześniakiem, siedmiomiesięcznym, 2100 wagi, bardzo słabiutki, lekarze nie przepowiadali mu życia.

Odtąd zaczyna się moja rola w życiu drugiego człowieczka. Mam znowu brata. Przypominało mi się, jak przez mgłę, że kiedyś był ktoś bliski, Władek, ale już tyle minęło a on nie przyjeżdżał, to co. Chyba nie chciał. Za nim była mgła.

Teraz przyszedł on a wszyscy mówili masz braciszka. To miałam.

Dziecko bardzo szybko przywiązuje się do mnie i nikt nie może mu mnie zastąpić. Ja z nim śpię, ja go karmię, Ja najlepiej go uśpię czy też zabawię. Dzieciak świata nie widział za Tenią. Jednakże bardzo szybko przejrzałam ja na oczy, że dziecko dla nich jest wszystkim. Już teraz ja nie istniałam. Nie cieszyły ich moje piątki, już opowiadano jakie to Boguś będzie przynosił. Trudno starałam się ze wszystkim pogodzić nigdy słoweczkiem nic im nie opowiedziałam. Wydawało mi się, że tak miało być. Ojciec, jednakże cały czas starał mi się trochę serca okazać, ale mama żartowała z niego „tak się kochacie może to jednak twoja córka”. Zaczynały się pytania ---a co to jednak nie jestem jego córka.

Jedyną pociechą i nadzieją był więc teraz Boguś. Naprawdę bardzo go kochałam. Wszystkie wakacje spędzałam z nim w domu. Nigdy nie byłam na żadnej kolonii. Musiałam pilnować Bogdanka a na to powiadano mi masz jeszcze czas.

Jednak raz zrobiłam sobie wycieczkę- do Siekierok Wyjeżdżała cała klasa a ja nie mogłam. Za całe 5 złotych. Leżały na maszynie. Wzięłam i zapłaciłam. Wyjechałam, a kiedy mama Iza to odkryła byłam już w autobusie. Wiedziałam co mnie czeka po powrocie, ale nie mogłam pokazać klasie, że ja najlepsza uczennica a nie może pojechać na wycieczkę. Było strasznie, ale pomału zaczynałam się przyzwyczajać, że bicie i kary stawały się moim udziałem coraz częściej.

Tak mijały lata, kończyłam ósmą klasę.

Mama Iza była znów w ciąży/potem się dowiedziałam, że była w niej 6 krotnie/. Każdy mówił, że teraz powinna być córka. Bardzo mnie to bolało, dawniej nazywano mnie córką, a teraz dopiero czekają na córkę, to kim w takim razie ja jestem. Właśnie w tamtych czasach bardzo często przychodził do nas Pan Janek. Zawsze był dla mnie bardzo miły i grzeczny. Nie wiem co nim kierowało, ale zawsze pamiętał, przyniósł czekoladę, praliny. Mama Iza czasem mi przygryzała: „No Janek może sobie żonę uchowa”. Staralam się tego nie słuchać... Jednakże bardzo lubiłam, kiedy przychodził, to jedyna osoba inna, z którą rozmawiałam po szkole. Nie mogłam mieć koleżanek, mama nie pozwalała, nigdy nie wpuszcila do mieszkania. Nawet ulubionej Basi Mańkowskiej, która była z tej samej ulicy, blok dalej. Na wieczorki klasowe też nie chodziłam, zawsze potem mnie wytłumaczyli. Teraz coraz częściej dostawałam lanie, wyzywano mnie od wrzodowych znajduchów. O byle co kara. Wyraźnie nagle przestałam im odpowiadać. Ja to czułam i bardzo przeżywałam. Strach, co się ze mną stanie.

Prawdziwa matka się nie odzywa, nie ma kontaktu. Ta przybrana staje się okrutna, czasami wulgarna. Nie daleko pada jabłko od jabłoni, to ciągły frazes, który słyszałam, chociaż na początku mając lat 12,13 nie rozumiałam do końca. Kiedyś, byliśmy same /Bogdan z ojcem poszli do wujka Barana na ul. Na grobli a ja nagle zapytałam, czemu mnie nie lubi. Zdenerwowała się okrutnie i stwierdziła, że chyba ten przeczytany cały Kraszewski mi porozwalał coś w

głowie. Jesteś taka jak twoja matka. Za bardzo mi ją ciągle przypominasz. A w takim razie kto Ty jesteś dla mnie. Zaczęła płakać i nagle wrócili oni i było po rozmowie. Baran spojrział na nią i na mnie, położył mi rękę na ramieniu i za chwilę wyszedł z pokoju. Poszedł na balkon i zapalił papierosa. Był dziwnie spokojny. Ja cicho usiadłam i zaczęłam czytać kolejną książkę. Już nie Kraszewskiego, jego 18 różnych tomów przeczytałam. Czytałam od drugiej klasy. Może dlatego tak ładnie czytałam zawsze w klasie, z piękną dykcją, bo prawda, że często z tymi swoimi bohaterami rozmawiałam, jak byłam sama. A bywałam często sama, bo jak Boguś miał już 3 latka zawsze brali go ze sobą, aby pochwalić się swoim dzieckiem. Ja to było już za dużo. Chyba stało się to od momentu, kiedy pani Przybylska, żona ginekologa powiedziała – Boguś, ale Ty podobny stajesz się do Twojej siostry, jak była młodsza. Teraz to już robi się panienka. Ale podobny...

Od tego momentu już z nimi nie chodziłam a przynajmniej bardzo rzadko...

Mama Iza w październiku, urodziła córkę Marysię, która żyła tylko godzinę, ona natomiast wróciła do domu dopiero po miesiącu ze szpitala. Miałam więc na głowie nie tylko szkołę, ale i dom, i Bogdanka. Ojciec robił mnie za wszystko odpowiedzialną i często krzyczał i wyzywał. Był bardzo zdenerwowany, ciągle. Trwało tak aż do nowego roku

Trochę się polepszyło, kiedy dostałam się do liceum, ale jednak to było tylko chwile.

Baran miał cztery klasy przed wojną, dorabiał 7 klasę na kursach wieczorowych razem ze mną korzystając nawet z moich notatek. Baranowa kończyła w Warszawie jakieś kursy czy nauki u krawca w Warszawie. A tu nagle ten dzieciak zdaje do jedyne go ogólniaka w Stargardzie. To podniosło na chwilę mój status w domu. Było wielkim zaskoczeniem. Przyszła pani Muraszko, pracownica czy kierownik Banku, przyszła Szmid pani sędzina, wszyscy mi gratulowali i pytali, czy lubię się uczyć i czy będę chciała studiować. To nagle było dla Baranów zbyt dużo, przestraszyli. A tam ona i studia no na razie idzie

dobrze, ale liceum i do pracy. Klientki mówiły jednak, że szkoda taki talent zmarnować.

W wakacje, pozwolono mi jechać nawet do Babci Skorzystałam z tego chętnie. Ciocia Honorata mówiła mi, idź do matki.

Będąc w Staro Gonne poszłam pewnego dnia do matki. Zostałam bardzo skromne warunki, patrzono na mnie krzywym okiem jak na hrabiankę. Dzieci matki nie znałam. Było mi bardzo przykro, uświadomiłam sobie, że jednak tam nie jestem potrzebna, ale i naprawdę nie pasuje. Wyczułam, że matka ma żal do mnie za to, że nie byłam w domu. A przecież co ja mogłam zrobić. Wyjechałam rozgoryczona słysząc ciągle w uszach słowa matki „te siedzą koło mnie, a tobie chciało się świata.” Wiem, nie chciałaś do mnie wracać. Tak widocznie tłumaczono, że mnie nie oddawano.

A przecież ja, gdy „wyjeżdżałam” do Stargardu miałam zaledwie 5 latek, co takie dziecko miało do decydowania.

Cóż mogłam ja wtedy decydować O co to chodzi.

Nie rozumiałam tego wszystkiego. Było mi ciężko i smutno.

Było mi przykro, nie wiedziałam, gdzie jest prawda.

Ktoś gdzieś, parę lat temu uratował swoje małżeństwo, ale zniszczył moje życie. Tak przy okazji słyszałam kiedyś rozmowę ciotek, „żeby nie przywiozła tego dzieciaka to tyle by Janka zatrzymała”. Ile było wtedy prawdy w tych rozmowach. Przecież mamy Izy nie było w domu, przez pierwszy okres. Jeździła na kursy krawieckie, najwięcej do Warnicy i do Suchania. A ze mną był zawsze Baran.

Coś w tym jest do myślenia. Może kiedyś się wyjaśni. Może.....?

Kiedy wróciłam w domu było coraz gorzej. Szukano ze mną sprzeczek, wyszydzano mnie na każdym kroku. W pewnym momencie odbierałam to, że Marysia też umarła przeze mnie. 28 sierpnia wychodziła za mąż ciotka Leokadia. Zaproszono mnie jako druhnę w drugą parę. Po przyjeździe na wesele okazało się, że zmienili mi partnera. Miałam początkowo być z Leszkiem,

którego poznałam już wcześniej z Warszawy... Tymczasem po przyjeździe poznałam dalszego kuzyna, z dziadka rodziny Jurka, który przyjechał tak po prostu odwiedzić zachód (pochodził z Sochaczewa) i przypadkowo trafił na wesele.

Ostatnie tygodnie w Stargardzie. cz. IV

Tak się zaczęło. Przez całe wesele matka była bardzo zła, gdyż widziała, iż Jurek mi nadskakuje. Był bardzo fajny, miał 23 lata, był bardzo uprzejmy, ale ja miałam lat 15. Nawet podobał mi się. Bawiłam się bardzo dobrze z wszystkimi, była to przecież dla mnie pierwsza w życiu zabawa. O północy mama nie widząc mnie przez parę minut (byłam na sali tańca) kiedy mnie spotkała, uderzyła mnie w twarz. Było to dla mnie wielkie zaskoczenie. Może nie skończyłoby się na jednym policzku, ale wszedł starszy brat mamy i ogromnie ją strofował, świadcząc, że cały czas bawiłam się. Kiedy wróciliśmy, matka przycinała mi w towarzystwie Barana: Teresa, miała najładniejszego kawalera, zakochała się, na pewno. Jej matka w jej wieku też latała na zabawy... Nie wiedziałam o co jej chodzi, ale było przykro, słuchając szczególnie tych obraźliwych słów o mojej prawdziwej matce. Miałam już dość. Dorastałam.

We wrześniu przyszedł pierwszy list od Jurka. Mam go po dzień dzisiejszy. Zapomniałam napisać, że mama i ojciec, kiedy Jurek odjeżdżał z wesela bardzo go zapraszali. W liście pozdrawiał rodziców, zapraszał do siebie i obiecał im, że kiedyś przyjedzie, a więc byłam zmuszona przekazać pozdrowienia ojcu. Ojciec nawet bardzo się ucieszył, no i powiedział mamie. Nic mi nie mówił, tylko żeby mi to nie zaszkodziło w lekcjach. Potem listy przychodziły dość często i mama zaczęła urągać. Tak było do grudnia. Byłam bardzo zajęta, zapomniałam nawet trochę. Przyszła od Jurka kartka z życzeniami wesołych świąt i takich czekałam.

Bez żadnych przeszkód przeszedł pierwszy dzień świąt natomiast rano spotkała mnie niespodzianka. Zdążyłam tylko się ubrać, a tu ktoś puka. Wchodzi – on –

Jurek. W pierwszej chwili bardzo się ucieszyłam. Rodzice natomiast zaraz jednogłośnie stwierdzili, że to z pewnością ja go sobie sprowadziłam. No ale gościli go bardzo mocno. A wieczorem w poszłam z nim do ciotki Honory. Chciał brać taksówkę, ale nie chciałam, aby się kosztował, więc szliśmy na pieszo. Do ciotki jest około 4 km. Ale droga naprawdę była przyjemna. Całą drogę rozmawialiśmy o wszystkim. O rodzinie, ukochanym motorze Jurka, na którym jeździliśmy po weselu. Junak był wspaniały... Było bardzo dobrze. Jak potem określiłam były to pierwsze normalne dni w moim życiu. Bo nikt nie krzychał, że niedaleko pada jabłko od jabłoni a ciocia Honorata przyjmowała Jurka z wielką radością jako bliskiego kuzyna... Nazajutrz rodzice normalnie poszli do pracy a ja zostałam z Bogdanem i gościem w domu. Trochę mnie to denerwowało, miałam go obsługiwać a ja już byłam zmęczona. Myślałam o szkole. a poza tym widziałam, że rodzice są nim też znudzeni. Nadskakują mu, ponieważ chcą zrobić dobre wrażenie. Do mnie zaś odnosili się już całkowicie źle, jakbym to sobie ja rzeczywiście go sprowadziła dla siebie... Wtedy bardzo często dostawałam i byłam pewna, że jak tylko odjedzie będzie podobnie. Czekałam już z niecierpliwością, kiedy odjedzie, chociaż on mówił, że bardzo dobrze mu się ze mną rozmawia. Tak było około pięciu dni. W końcu w przeddzień sylwestra wieczorem odjechał. Kiedy wróciłam czekała mnie w domu już kłótnia i awantura. Szybko rozebrałam się i poszłam spać, ale oni wyzywali mnie do północy. Wiedziałam, że od tej pory już nie będę miała spokoju w domu ani na chwilę

Nowy Rok 1967-1968 cz. V

Był 31 grudnia 1967 r. Po uprzednim posprzątaniu całego mieszkania i zrobieniu prania siedziałam z Bogdankiem w sypialni i czytałam gazetę. Nagle dzwoni dzwonek do drzwi... Ciekawa byłam kto to może być. Mama była jeszcze w pracy, no a ojciec robił sobie zakończenie roku z kumplami w pracy.

Był to Pan Janek. Przyniósł mi bilety do kina. Zaczęliśmy rozmawiać. Nagle przybiega pani Jola sąsiadka, jedyna miała telefon w klatce, mówiąc, abym szybko biegła po mamę do pogotowia. Dostała ataku na ulicy i zabrało ją pogotowie. Nie wiedziałam w pierwszej chwili co mam robić, zostawiłam Bogdana u sąsiadki i pobiegłam do matki. Zdenerwowałam się, bo musiałam biegać po torbę i płaszcz mamy do pracy, potem szukałam taksówki. Tatuś „kochany” przyszedł o szóstej do pogotowia i jeszcze wymyślał mamie, że nie wie, kiedy chorować, oczywiście był pod gazem.

Lekarz, gdy wychodziliśmy, przede wszystkim zakazał mi dawania jakiegokolwiek kwasu. Przyjechaliśmy do domu. Rozebrałam mamę i położyłam spać. Zrobiłam jej herbaty. Tymczasem wpakował się do kuchni ojciec, wrzucił cytrynę i niesie taką gorącą mamie. Na moje prośby, że zbyt gorąca i że szkodzi cytryna odpowiedział, że jestem za smarkata i g... się znam. Dopiero pan Janek wziął mu z ręki tę herbatę i zrobiłam drugą. Za chwilę ojciec przyszedł i wysyłał mnie po wódkę. Powiedziałam, że nie pójdę, bo muszę być przy mamie. Poza tym teraz jest w sklepie mnóstwo ludzi, mogą być belfrowie. A ja przecież chodzę do Liceum. Za to „nieposłuszeństwo” spadło na mnie mnóstwo przekleństw i wyzwisk nic się już nie odzywałam a o jedenastej zaczął przestawiać meble na dobre. Dobrze, że był wtedy pan Janek, ojciec wyzywał mnie przy nim od znajduchów, bękartów, a w końcu zaczął mnie bić, nie wiem, kiedy się wyrwałam, wzięłam buty i płaszcz, pan Janek go widocznie przytrzymał i uciekłam z domu. Było za 15 minut 12. Wyszłam za miasto, szłam ciemnym parkiem, oprzytomniałam, kiedy zaczęły bić dzwony. Minęła godzina dwunasta. Tak to przywitałam 1968 r. Wtedy dopiero uświadomiłam sobie, gdzie się znajduję i co doprowadziło do tego, że się tu znalazłam. W pierwszej chwili zaczęłam gorączkowo mówić „Pod Twoją Obronę” a potem zaczęłam mocno płakać. Uświadomiłam sobie, że teraz nie mam już, dokąd wracać. Co mi teraz pozostało. Sama nie wiedziałam co z sobą począć. Postanowiłam skończyć ze sobą. Zeszłam w bok parku, gdzie płynie rzeka Ina. Poczęłam powolutku

schodzić z brzegu do wody. Ale nagle zastanowiłam się, dlaczego ja to robię i odruchowo spojrzałam do góry, zauważyłam, że stoi wojskowy. Machał do mnie i coś mówił. Zawstydyłam się trochę i zaczęłam z powrotem wychodzić do góry. W pewnym momencie poślizgnęłam się i zaczęłam wpadać z powrotem do rzeki. Poczułam silne ręce pod pachami i w minutę byłam postawiona na nogi na górze. Wystraszyłam się jeszcze bardziej. Powiedziałam dziękuję i zaczęłam bardzo szybko iść w kierunku katedry. Zauważyłam, że facet za mną idzie, krok w krok. Zaczęłam po prostu uciekać. Ten doprowadził mnie pod taką eskortą aż do samego domu. Kiedy wpadłam do klatki, byłam bardzo roztrzęsiona. Była godzina 3:10! On czekał na dole w klatce i patrzył, czy wchodzi do domu. Pod wrażeniem tego człowieka wpadłam do domu. Ojciec zaczął na mnie krzyczeć, ale już nie reagowałam. Potem przyszli sąsiedzi i zaczęli rozmawiać. W końcu usłyszałam, że matka skarży się na mnie do sąsiadki, że ciągle kłótnie tylko przeze mnie. Wtedy postanowiłam jedną rzecz, że nigdy już się do nikogo nie odezwę. Rano wstałam byłam, jak gdyby zdjęta z krzyża. Ubrałam się i poszłam do kościoła. Kiedy wróciłam ojciec kazał mi porządkować całe mieszkanie. Ale nie miałam w ogóle zamiaru. W Nowy Rok – porządku – ja posprzątałam wczoraj a dzisiaj to niech on sprząta. Ja miałam dość. To życie było już nie do zniesienia. Ale ja miałam już dość tej służby.

Jest 6 stycznia i święto Trzech Króli.

Otwierają się drzwi i staje w nich moja prawdziwa matka. Przyjechała po 10 latach, aby zaprosić wszystkie siostry na swój ślub kościelny, bo wreszcie chce też być w porządku jak pozostali. Rozmawiamy, ale rozmowa się nie klei. W pewnym momencie zaczyna Baranowa żalić się, że ja sprowadzam sobie już chłopów do domu, że jestem pyskata, nie pomagam i w ogóle to chyba dla niej krzyż, ale nie wie za co. Tym kochankiem miał być ów kuzyn Jurek, tak apropo. Matka była zaskoczona. Opowiadano w rodzinie jak to było w porządku, najlepsza rodzina a tu co ona słyszy.....

Po kilku godzinach mama prawdziwa postanowiła iść zaprosić ciocię Honore, dlatego wyszłyśmy obie razem po raz pierwszy w życiu.

Za rękę prowadziłam ją na ulicę Polną, bo nawet nie знаła adresu swojej siostry. Nie przyjeżdżała podobno ze względu na mnie. Jak to rozumieć.

Nigdy się tego od niej nie dowiedziałam Dlaczego.?

Ciocia Honora bardzo się ucieszyła. Przygotowała małe przyjęcie. W pewnym momencie zabrała ją do kuchni i zamknęły się drzwi. Usłyszałam tylko, że mówiły o mnie.

Nagle zostałam zawołana a ciocia kazała mi pokazać ślady po pasku, na plecach, na nogach na rękach. Widziałam jak mama się zdenerwowała. Polać ścierką po plecach to tak, ale takim pachem. Dlaczego nic nie mówili. O to co- bękart, ale mój i nikt tak traktować jej nie będzie. Bedzie biedniej, nie mam luksusów, ale nie bije swoich--dzieci tyle usłyszałam pod drzwiami. Ale im wtedy zazdrościłam.

Wracamy. Mama w pewnym momencie pyta czy to prawda, że mnie tak biją i źle traktują. Zamyśliłam się. Całe dotychczasowe życie przeleciało mi przed oczyma. Co to się dzieje. Ktoś mnie pyta czy mi jest źle?

Powiedziałam, że ciocia mówiła prawdę Już dalej szłyśmy w milczeniu Bałam się co będzie w domu. W mieszkaniu, bo domu to chyba ja nigdy jeszcze nie miałam.

Wchodzimy- mama Iza siedzi przy maszynie i jakby czekała na coś. Zmieszana pyta- jak tam poplotkowałyście, postawiła kielicha? Porozmawiałyśmy, jak siostra z siostrą. Jak tak masz dosyć mojego bękarta to ja zabieram ją ze sobą. Gdy padły te słowa w Izę wstąpił diabeł. Zaczęła krzyczeć, wyzywać, obrażać. Nie można tego powtórzyć.

Matka powiedziała krótko, pakuj się, jedziemy.....

I tutaj dopiero problem. Poprosiłam o wyjazd dopiero pojutrze. Zrozumiałam, że to najważniejsze, nie mogę wyjechać bez papierów ze szkoły. Mama powiedziała, że to potem się załatwi. Ja się uparłam, że nie. Mama musiała

wracać, bo następnego dnia miała Kolendę. Przed ślubem to było dla niej bardzo ważne. Ja nie mogłam wyjechać bez papierów. Odprowadziłam ją na dworzec z Bogusiem a on zapytał, ale ty takim pociągiem nie pojedziesz. Pojadę Bogusiu ale jutro. Zaczął krzyczeć. Płakać. Przyszedł do domu i zapytał matkę czy jego Tenia nie pojedzie bez niego pociągiem.

Nie uzyskał odpowiedzi. Zasnął dopiero po północy i spał ze mną. Chyba wtedy zaczęła się też jego samotność...

W tym domu szczęście nie chciało na stałe zagościć.

Następnego dnia poszłam do szkoły i tutaj zaczęła się gehenna. To były lata ze dokumenty to własność instytucji, a nie ucznia. Długo to trwało, ale około 12 po wysłuchaniu całego życiorysu, dyrektor wziął pod uwagę też moje oceny i z żalem pożegnał jedną ze swoich najlepszych uczennic. Powiedział tylko, żebym się uczyła, bo to dla mnie największa szansa na inne życie.

Następnego dnia o 7,30 odprowadziła mnie matka Iza na pociąg do Czaplinka. Boguś płakał. Obiecano mu, że niedługo przyjadę. Oczywiście Baranowa wierzyła, że wrócę bardzo szybko i będę błagać o przebaczenie. Boguś czekał na mnie z innego powodu.

„Rozstanie” cz. VI

Kiedy przyszłam do domu matki, ogarnęła mnie całkowita rozpacz. Zauważyłam, że tu nawet wyspać się dobrze nie ma jak a co mówić dopiero o nauce, a ona cały czas chodziła mi koło serca. Za wszelką cenę postanowiłam, skończyć maturę, pokazać światu, że jestem człowiekiem takim samym jak i wszyscy inni mądrzy ludzie. Nazajutrz postanowiłam pojechać do szkoły do Połczyna Zdroju. Kiedy tam zajechałam, spotkałam bardzo dużo przeszkód. Po pierwsze tutaj był język angielski, a ja w Stargardzie uczyłam się niemieckiego. Poza tym postanowiłam dostać się do internatu. Pan dyrektor od razu zapowiedział mi, że o internacie nawet nie mam marzyć. Ale nawet nikt nie

pomyślał o tym, że ja mogę być taka uparta. Nie pamiętam nawet, kto wtedy podszeptał mi nazwisko kierownik internatu, niejakej pani Klary Ostrzyckiej. Zgłosiłam się do niej. Przyjęła mnie bardzo serdecznie, spokojnie, ale posłała mnie jeszcze do dyrektora, gdyż sama nie chciała decydować. On równie dobrze ustosunkował się do mojej osoby, O godzinie drugiej po południu dowiedziałam się, że mogę przyjść do internatu. Wyjęłam pieniądze które miałam z książeczki SKO (na której miałam 880 zł) i zapłaciłam za pierwszy miesiąc internatu, ale był problem kolejny. Musiałam mieć poduszkę. Pojechałam prędko do domu. Zabrałam swoją starą walizkę oraz poduszkę. Pamiętam ten odruch matki. Weszła do pokoju i jednemu z moich przyrodnych braci wyciągnęła poduszkę spod główki. Ona tak odskoczyła i uderzyła w łóżko. Nigdy tego nie zapomnę. Nigdy nie doszłam kto to był?

Musiałam biec z powrotem 3 kilometry do Kluczewa, bo o godzinie 16:00 był autobus z powrotem do Połczyna. Przybyłam na przystanek na czas, ale autobus nie przyjechał. Był 7 stycznia 68 roku. Zima, okrutna zima.

Usiadłam na przystanku obok domu pani Taborkowej w Kluczewie. Przyszła do mnie w pewnym momencie i zapraszała do domu, bo zamarzną. Przyniosła o godzinie 18 .00 herbatę gorącą. Siedziałam skulona z poduszką na kolanach. Powtarzałam, że na pewno przyjedzie. W pewnym momencie zasnęłam i obudziły mnie dalekie głosy. To studenci z Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Koszalinie wracali z praktyki i zauważyli kogoś na przystanku. Byłam już zamarznięta na kość. Wzięli mnie na ręce i do samochodu. Wydukałam ze jadem do internatu i tam też mnie podwieźli. Pani dyrektor złapała się za głowę. Obcy dzieciak, jeszcze wszystkiego o nim nie wiedziała a następnego dnia miałam zapalenie opon mózgowych i zapalenie płuc. / Wyjdę z tego po miesiącu w 68 ale w 71 będzie z tego otwarta gruźlica. –przypisek autorki w trakcie przepisywania oryginału/.

Pierwszą noc spałam w pokoju nr. 3 (chłopcy dostawili mi dodatkowe łóżko. Nazajutrz poszłam pierwszy raz do nowej szkoły. A wieczorem poszłam do pani

profesor na tak zwaną „szczerą spowiedź”. Nie wiem, dlaczego, ale od początku bardzo tę panią polubiłam, naprawdę jest dla mnie bardzo dobra. Nie mogłam nawet bardzo się przyzwyczaić do tak troskliwej i ciepłej atmosfery. Dotychczas byłam przyzwyczajona, że ciągle ktoś mnie popycha, szurga, krzyczy, sztorcuje, a tutaj cichutko, pięknie, spokój i cisza. Naprawdę nie wierzyłam własnym oczom, że uczę się, że mieszkam w internacie. A potem była choroba. Nauka angielskiego Na pierwszą niedzielę wyjazdową po chorobie pojechałam do Lipna, ale mama nie chciała słyszeć o szkole. Miałam 8 klas, a więc powinnam iść do pracy do PGR Pomagać rodzinie a było ich siedmioro i matka i jej mąż. Ja byłabym ósma. Razem 10 sztuk do wykarmienia i odziania. Z jednej pensji pracownika leśnego.